

Marzena obudziła się, zanim rozległ się dźwięk budzika. Była niewyspana, poirytowana i zasmucona. Wczoraj miała „czterdziestektóreśtam” urodziny.

„To przecież nie koniec świata. Druga połowa życia jeszcze przed tobą” – powtarzała sobie w myślach, aby za chwilę dodać otrzeźwiająco: „Ta gorsza”.

Urodziny przebiegły bardzo skromnie i nie mogła nie czuć się tym faktem rozczarowana. Miała być kameralna, rodzinna uroczystość, a nie samotny wieczór z córką Pauliną.

Syn Paweł poinformował ją rano, że zatrzymała go praca i musiał odwołać przylot z Londynu. Złożył jej życzenia telefonicznie i obiecał, że przyleci „niebawem”. Zmartwiła się, ale nie zadawała zbyt wielu pytań. Skoro tak zrobił, musiał mieć swoje powody. A że po kilku miesiącach upokarzającej pracy na czarno u jakiejś „poza się bożepolskiej emigrantki” udało mu się złączyć wreszcie normalny kontrakt w brytyjskiej korporacji (cateringowej), zależało jej na tym, żeby utrzymał ten stan rzeczy.

Mąż Karol pojechał do Torunia na podpisywanie aktu notarialnego ze swoim klientem i wrócił późnym wieczorem. Przeprosił, że tak wyszło, wręczył jej kwiaty, a zaraz potem wziął szybki prysznic, przebrał się i posiedział z nią jakieś piętnaście minut, by – tłumacząc się zmęczeniem i koniecznością zrobienia czegoś wcześniej rano – położyć się spać w pokoju gościnnym.

Humor poprawiły jej przynajmniej e-maile oraz wiadomości i komentarze na Facebooku od czytelniczek, które prześcigały się w pomysłowych życzeniach i ciepłych słowach. W taki dzień nawet te banalne wyrazy pamięci cieszyły ją i dodawały otuchy.

Karol wybył rzeczywiście rano. Zrobiła jajka na bekonie i tosty dla siebie i córki, zaparzyła też kawę.

Córka jadła dosłownie w biegu i ledwo zdążyły zamienić parę słów. Spieszyła się na ćwiczenia z prawa cywilnego, na których sprawdzano obecność. A Paulina była bardzo pilną studentką (dzienną) i – inaczej niż Paweł, jej brat bliźniak – nie zamierzała tak szybko wylecieć z rodzinnego gniazda w nieznane.

Mogła wyjechać na UJ, ale ostatecznie zdecydowała się pozostać na miejscu. Ojciec przyjął jej decyzję z dużą dozą krytycyzmu, podkreślając prestiż krakowskiego uniwersytetu, ale dla Marzeny była to zbawienna decyzja. Umarłaby chyba z żalu i samotności, gdyby po decyzji Pawła o wyjeździe do Londynu straciła także ją.

– Mogliby traktować nas jak studentów, a nie uczniów – stwierdziła, popijając kawę. – Ale z drugiej strony, gdyby facet nie sprawdzał obecności, to u takiego nudziarza nikt by się nie pojawił.

Matka uśmiechnęła się i przytaknęła. Paulina pocałowała ją w policzek i życząc jej dobrego dnia, skierowała się ku wyjściu.

Marzena przeniosła się do swojego gabinetu, w którym zwykle pisała. Włączyła komputer i poszła zrobić sobie herbatę, a kiedy system wreszcie się załadował, otworzyła plik rozpoczętej przed tygodniem powieści.

Zanim jednak przystąpiła do pisania, musiała minąć co najmniej godzina, a często i dwie, podczas których rytualnie sprawdzała pocztę i wiadomości na portalach

społecznościowych, odpowiadała na część z nich, wrzucała coś na stronę autorską na Fejsie – słowem, dbała o interakcje z wielbicielkami swojej twórczości.

Kiedy wreszcie jej palce zaczęły wklepywać kolejne linijki według wczorajszego planu, którego nie zdołała zrealizować, usłyszała dzwonek do drzwi.

Dochodziła dziesiąta – zastanawiała się, kto to mógł być. Listonosz przychodził zwykle około południa, więc to raczej nie on. Zaintrygowana, ale i lekko wystraszona, podeszła cicho do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Na zewnątrz stał facet z paczką. I wtedy przypomniało jej się, że przecież to dzisiaj miały przyjść egzemplarze autorskie *Domku przy skale*.

Jak mogła zapomnieć o czymś tak absolutnie ekscytującym?

Dzwonek zabrzmiał powtórnie.

– Już idę! – zawołała i otworzyła drzwi.

Jej oczom ukazał się młody, przystojny kurier.

– Pani Wierzba? – zapytał.

– Tak. Proszę, niech pan wejdzie – powiedziała, przyglądając mu się z zainteresowaniem.

Wszedł, zamykając za sobą drzwi. Położył paczkę na podłodze i zaczął czegoś szukać w elektronicznym rejestrze.

*Dobiegał trzydziestki. Miał pociągłą, gładko ogoloną twarz – na swój sposób chłopięcą. Ładnie pachniał. (Nie to, co przepocony pan Józek – listonosz, który był sympatyczny, ale swoim pojawieniem się powodował u niej odruchy wymiotne.) Był dobrze zbudowany – miał wysportowaną sylwetkę.*

*Zaprzagnęła mieć go w swoich ustach. Była gotowa zrobić mu dobrze. Ssać chciwie jego członek, a kiedy będzie gotowy, żeby wystrzelić, pozwolić mu spuścić się na twarz albo nawet połknąć ejakulat.*

– Proszę pani – ponaglił ją. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że kurier stoi nad nią z elektronicznym długopisem, wyczekując, aż podpisze odbiór przesyłki.

– Przepraszam... – Uśmiechnęła się, ale na nim nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Podpisała tam, gdzie jej wskazał.

Miała ochotę powiedzieć mu, że to egzemplarze autorskie jej książki, pochwalić mu się, ale jego postawa była nazbyt chłodna i lekceważąca, by mogła wyskakiwać z czymś takim. Przyszedł tu wykonać swoją pracę, na pewno jej nie kojarzył. Wyglądał na takiego, który potrafi zadowolić kobietę, ale nie na nałogowego czytelnika. Z drugiej strony – pomyślała rozgorączkiona – była dla niego za stara, żeby mógł na niej poządlawie zawiesić oko.

Rzucił „do widzenia”, nawet na nią nie spojrzawszy, i wyszedł. Za to ona odprowadziła wzrokiem jego zgrabny tyłek. Układała na szybko w głowie dalszy ciąg sceny, a potem wróciła do swojego gabinetu i zrobiła notatki.

Takie epizody, strzępy czy nawet większe sekwencje, które przychodziły jej do głowy i które następnie skwapliwie notowała, wykorzystywała potem w swoich opowiadaniach i powieściach. Czasem krytycy zarzucali jej, że niektóre z jej pomysłów sprawiają wrażenie doklejonych na siłę, wyrwanych z kontekstu – miała świadomość, że coś jest na rzeczy. Z drugiej strony, nie chciała marnotrawić potencjału swoich przemyśleń, zapisków i notatek, z których wiele jej się podobało i jej zdaniem zdecydowanie warty było późniejszego wykorzystania.

Zaproszenie na panel pisarek w Warszawie. Temat: *Czy literatura kobieca musi być tą gorszą?*

„Czy będzie ci się chciało jechać?” – zapytała się w myślach. Bo z jednej strony zakładała, że warto zaznaczyć swoją obecność dosłownie wszędzie, a z drugiej, tak po prostu, była w tej chwili zbyt leniwa, żeby wystawić nos poza Trójmiasto.

Z zadumy wyrwał ją dzwonek telefonu. To Paweł.

– Cześć, synku! – przywitała go radośnie.

– Cześć, mamó – odpowiedział.

– I jak tam, wiesz już, kiedy będziesz mógł przyjechać?  
– Właśnie w tej sprawie dzwonię – rzekł dość dziwnym tonem, który ją natychmiast zaniepokoił.  
– Coś się stało?  
– Nie, nic się nie stało, mamu. – Zaśmiał się. – A właściwie to dopiero się stanie, bo przyjeżdżam w piątek.  
– Jak to w piątek? W ten piątek? – Ucieszyła się.  
– Tak, w ten piątek – potwierdził. – Udało się znaleźć zastępstwo, przebukować bilety, więc nie mogłem nie skorzystać, nie?  
– Nawet nie wiesz, jak się cieszę!  
– Mamu, jedna kwestia. Chciałbym przyjechać z kolegą z pracy. Jimem. Wiesz, on nigdy nie widział Polski. Pokazałbym mu Trójmiasto, może Malbork...  
– Anglik? – spytała.  
– Nie... To znaczy, mieszka w Anglii, ale pochodzi z Nigerii.  
– No dobrze, w domu jest miejsce, możemy go przenocować, więc nie ma problemu – odpowiedziała lekko zbity z tropu. – Myślę, że tata też nie będzie miał nic przeciwko temu.  
Prawdę mówiąc, zakładała, że spędzi z synem trochę czasu i nie będzie musiała go dzielić między niego a gościa. A poza tym raczej nie lubiła obcych osób kręcących się po jej domu. Miała swój rytm i nie znosiła, kiedy zakłócały jej go nieprzewidziane wydarzenia czy osoby. Nieznajomi ją stresowali. Nie wiedziała, czy to, że jest czarny, nie skomplikuje tylko sprawy. Właściwie to wiedziała, ale wstydziła się przed sobą przyznać. Ale z drugiej strony nie śmiałyby stawiać syna w niekomfortowej sytuacji – skoro chciał przyjechać z kolegą i pokazać mu Polskę, to dlaczego miałyby się temu w jakikolwiek sposób sprzeciwiać? Ostatecznie może przyjazd tak egzotycznego gościa będzie ciekawym wydarzeniem, które ją twórczo zainspiruje.

– Super – odpowiedział Paweł. – On nie będzie sprawiał kłopotu. To fajny, spokojny chłopak, zobaczysz!

– No ja myślę – zdobyła się na żart. – O której mam po was przyjechać na lotnisko?

– Przylecimy wieczorem. Jakoś koło osiemnastej. Nie mam teraz *itinerary* przed sobą, ale potem jeszcze napiszę SMS-a, e-mail albo po prostu zadzwonię.

„*Itinerary*” – zaśmiała się do siebie. Postanowiła, że poda-ruje mu jakieś książki, żeby nie zapomniał tam polskiej mowy, był w kontakcie z polskim słowem przez duże „s”. Oczywiście z jej *Domkiem przy skale* w pakiecie.

– Mamo, muszę kończyć, bo zaraz mi się *break* kończy – powiedział. – Trzymaj się i pozdrów wszystkich!

– Pa, synku! – rzuciła na pożegnanie.

– Bye! – odpowiedział miękko.

Ach, jakże miło było go usłyszeć! Jak bardzo poprawił jej humor i ileż nowej energii w nią tchnął. Teraz będzie jej zdecydowanie łatwiej pisać.

Obecnie pracowała nad *Domkiem dla lalek*. Opowieścią o wychowance sierocińca, która zostaje panią adwokat i otwiera własną kancelarię, ale jej obsesją staje się zbadanie swojej przeszłości. Pragnie poznać rodziców oraz motywy, które sprawiły, że trafiła do tego przytułku.

Spytała męża, czy takie dane się przechowuje i udostępnia pełnoletnim wychowankom, ale zbył ją lekceważącym uśmiechem. Powiedział, żeby wyszukała sobie w Internecie. Tak właśnie powiedział, dotykając ją tym do żywego. Córka była życzliwsza, ale miała prawo tego nie wiedzieć. Ostatecznie jednak zapomniała o obietnicy, że sprawdzi i da znać, bo nie wracała do tego tematu. Będzie musiała się jej przypomnieć albo rzeczywiście oprzeć się na tym, co podpowie jej Internet.

Nie mogła się skupić na pisaniu. Znowu telefon. Tym razem to jej przyjaciółka Anita. W pierwszym odruchu

postanowiła nie odbierać. Anita, od śmierci ojca, którym się troskliwie opiekowała, była nie do zniesienia – zupełnie jakby straciła sens życia. „Ale takie są pułapki staropanieństwa” – pomyślała zjadliwie. „Czego może chcieć tym razem?” – zastanawiała się, aby w końcu odebrać połączenie.

– Słuchaj, chciałam zajrzeć do Karola w sprawie poświadczenia dziedziczenia, ale jego sekretarka powiedziała mi, że wyjechał na kilka dni. Trochę mi się spieszy i...

– Jak to „wyjechał na kilka dni”? – powtórzyła z niedowierzaniem Marzena.

– Wiesz, mogę iść do innego notariusza... – odpowiedziała zbita z tropu Anita.

Marzena zastanawiała się, czy Karol miałby jakiś powód oszukiwać Anitę lub jej unikać, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Tam gdzie w grę wchodziły pieniądze, potrafił z godnością i wyrachowaniem znieść cudzą upierdliwość.

– Wiesz, to w sumie dziwne... – Marzena zawiesiła głos. Myślała o tym, żeby jak najszybciej się rozłączyć i zadzwonić do męża, żądając wyjaśnień. – Nie słyszałam, żeby planował gdzieś wyjechać. A już na pewno nie na kilka dni.

– Słuchaj, to może w takim razie nie jest dobry moment, żebym pytała, co słyhać. Co teraz piszesz...?

– Może umówimy się na kawę w przyszłym tygodniu – zaproponowała na odczepnego Marzena. I oczywiście natychmiast zdała sobie sprawę z idiotyzmu takiej zagrywki.

– Dobrze, kochana – podchwyciła chętnie tamta. – Zadzwoń czy ja mam się odezwać?

– Zadzwonię. Obiecuję. – Znowu o jedno słowo za dużo.

– Okej. Pa! – pożegnała ją Anita.

Marzena szybko wybrała numer męża, ale zamiast jego głosu odpowiedział jej komunikat, że abonent jest poza zasięgiem.

Pomyślała, że zadzwoni do kancelarii i zapyta, co jest grane, sekretarkę, Katarzynę Miarkę, której zresztą bardzo nie lubiła, podejrzewając nawet czasami o romansowanie z jej mężem.

– Szef nie poinformował, dokąd jedzie, ale powiedział, że go kilka dni nie będzie – odpowiedziała, wyraźnie zmieszana.

– Jak to: kilka dni go nie będzie? – zapytała oszołomiona Marzena.

I natychmiast zdała sobie sprawę z tego, jak idiotycznie musiało w uszach sekretarki zabrzmieć takie pytanie. Czuli się upokorzona.

Kiedy milczenie po drugiej stronie się przeciągało, zapytała na wszelki wypadek:

– Halo, jest tam pani jeszcze?

– Jestem, jestem – potwierdziła Miarka. – Ale nie wiem, co pani powiedzieć... Pani się domyśla, że to dla mnie niezręczna sytuacja.

– A pani Ewelina? – spytała, mając na myśli aplikantkę, która pracowała w kancelarii i zarazem kształciła się pod okiem jej męża.

Lubiła tę dziewczynę, od kiedy dowiedziała się, że ta przeczytała kilka jej książek. A serce skradła jej, kiedy podczas jednego ze spotkań przyniosła parę woluminów i poprosiła o wpisy z dedykacjami.

– Pani Eweliny nie ma od kilku dni. Jest na zwolnieniu – odpowiedziała sekretarka. – Właściwie to jestem teraz sama.

Marzena stwierdziła, że niczego się od niej nie dowie, a każde kolejne pytanie stawia ją i jej małżeństwo w nieciekawym świetle. Będą ploty, będzie chryja. Nawet nie wiedziała, czy bardziej chciała oszczędzić wstydu sobie czy mężowi. Zmusiła się do podziękowania, przeprosiła za zamieszanie i rozłączyła się.

Z tego wszystkiego zapomniała poprosić o numer telefonu Eweliny. Z drugiej strony nie będzie przecież dzwoniła do



dziewczyny, jeśli ta przebywa na zwolnieniu, i pytała o plany własnego męża – to dopiero byłoby żenujące do kwadratu!

Zadzwoiła ponownie do Karola, ale wciąż miał wyłączony telefon.

„A może coś się stało?” – przestraszyła się. „Może go pobili i okradli, a teraz znajdował się w jakimś szpitalu bez dowodu tożsamości?”

„Tak, jasne, cholerna idiotko” – odpowiedziała sama sobie w myślach. „Mówi wprost, że wyjeżdża na kilka dni, a ty się martwisz, że coś mu się stało”.

Była wściekła – teraz to ona mu da do wiwatu! Ale choć kipiała w niej złość, wiedziała, że w gruncie rzeczy nie jest gotowa na konfrontację z mężem. Z całą pewnością jednak zażąda od niego wyjaśnień i tym razem nie zadowolili się byle jaką odpowiedzią.

\* \* \*

Jak na swój wiek była wciąż atrakcyjną kobietą i za taką, mimo rozmaitych kompleksów, się uważała. Średni wzrost, szczupła, ale zarazem powabna, kobieca figura, subtelnie opadające na ramiona włosy w kolorze blond i ciekawa twarz o delikatnych wciąż rysach i łagodnym wyrazie, z którym kontrastowało nieco wystraszone, lekko hipnotyzujące spojrzenie jej brązowych oczu.

Ale Karol zdawał się nie dostrzegać jej piękna. Unikał nie tylko zbliżeń z żoną, ale też właściwie jakiegokolwiek formy bliskości, a ona, zakłopotana, w pewnym momencie przestała mu się narzucać czy nawet wysyłać jakiegokolwiek sygnały świadczące o jej potrzebach i oczekiwaniach.

Co więcej, coraz częściej sypiał w tym cholernym pokoju gościnnym, jakby chciał zaznaczyć, że w tym domu jest właściwie gościem, jakby jeszcze bardziej chciał się od niej zdystansować. Właściwie coraz rzadziej rozmawiali o przyczynach

tego stanu rzeczy. Podejrzewała, że kogoś ma, ale kiedy raz się odważyła i wypowiedziała na głos swoje przypuszczenia, on stanowczo zaprzeczył, nazywając ją histeryczką i podkreślając, że podczas gdy on ciężko pracuje, ona siedzi w domu, pisze „te powieści” i różne bzdury przychodzą jej do głowy. Tak właśnie powiedział – „te powieści” – dezawuuując jej pracę, sukces i poczucie sensu. Potem próbowała jeszcze parę razy przywołać w rozmowie z nim swoje podejrzania, zmusić go do tłumaczeń, ale on reagował za każdym razem złością, czasem wręcz furią, co powodowało u niej zakłopotanie i sprawiało, że wycofywała się i coraz bardziej chowała w sobie. Jakby obawiała się, że kiedyś powie za dużo, skrzywdzi ją prawdą, trzaśnie drzwiami i na dobre wyniesie się z jej życia. Nie czuła się gotowa na odrzucenie, nie dopuszczała myśli o rozwodzie – wolała już zaakceptować ten świat pozorów, który współtworzyli. Może z braku alternatywy, może z poczucia przywiązania, również finansowego, może z naiwnej wiary w to, że cokolwiek mogło się w ich wspólnym życiu jeszcze zmienić.

„A gdyby tak dzielić się mądrościami życiowymi z czytelniczkami?” – zastanawiała się.

Zapisywać je na różowych karteczkach, potem wrzucać na Facebook, a wreszcie tworzyć z tego całe książki?

Podeksytowana wzięła bloczek różowych karteczek i zaczęła wypisywać na nich swoje myśli, które cisnęły jej się do głowy i przybierały postać potencjalnie inspirujących sentencji.

*Kochaj siebie, bo zasługujesz na dobro i czułość. Jeśli nie będziesz dla siebie dobra, wysyłasz sygnały innym, że nie muszą Cię dobrze traktować.*

*Pamiętaj, jeśli tylko czegoś bardzo pragniesz i podporządkowujesz temu cały swój umysł, serce i duszę, nie ma takiej siły, która mogłaby Cię powstrzymać przynajmniej przed tym, żeby tego spróbować.*

Do każdej z myśli dorysowywała jakieś graficzne ozdobniki.

Zastanawiała się, czy to ma głębszy sens. Niech pomysł zweryfikują czytelniczki. Kiedy chwilę potem treść karteczek znalazła się na Facebooku, szybko zaczęły sypać się lajki i udostępnienia.

Tylko jeden niezyczliwy komentarz nazywający ją „Coelho w spódnicy”. „A właściwie – czy naprawdę aż tak niezyczliwy, biorąc pod uwagę popularność brazylijskiego pisarza?” – pomyślała.

Mogła zatem odetchnąć z ulgą i uśmiechnąć się z zadowoleniem, bo pomysł najwyraźniej chwycił.

Przyszedł SMS od Karola: „Nie martw się i nie wypytuj. Wszystko jest okej”.

W pierwszej chwili odetchnęła z ulgą, ale zaraz potem poczuła się upokorzona lapidarnością tego komunikatu. Tylko tyle był jej w stanie napisać? Nie stać go było nawet na głupi telefon, kilka słów wyjaśnienia?

Miała ochotę wybrać jego numer i wziąć go na spytki, ale przestraszyła się, że się na nią rozgniewa i mimo tego, że to on powinien się jej tłumaczyć, znowu nazwie ją histeryczką i wyśmiej. Albo po prostu się rozłączy, jeszcze bardziej ją upadlając.

Czy takiego męża, do diabła, potrzebowała? Dlaczego w jej życiu nie mógł pojawić się ktoś, kto nadałby mu większy sens? Poza dziećmi oczywiście.

Włączyła telewizor, żeby zagłuszyć myśli.

Ten X. znowu coś palnął. Chociaż polityką się nie interesowała, uważała, że w dobrym tonie jest naśmiewać się z X., dlatego wrzuciła między różowymi karteczkami dwa zdania komentarza. Przecież wszyscy przyzwoici ludzie i intelektualiści krytykują X., więc i ona czasem dawała wyraz słusznemu oburzeniu albo dzieliła rozbawienie wieśniactwem X.

Kiedyś chciała się dopisać do apelu intelektualistów, w tym pisarzy, w jakiejś szczytnej sprawie protestu przeciwko klerikalizacji życia publicznego w Polsce, ale dano jej do zrozumienia, że jako autorka literatury kobiecej niekoniecznie jest mile widziana. Poczula się wtedy dotknięta, wzgardzona, chociaż apel ten i tak podlinkowała i poparła na swojej stronie autorskiej na Facebooku.

\* \* \*

– Dzisiaj chciałam zwrócić uwagę swoich czytelniczek... i czytelników oczywiście, na problem chorób. Jeśli możecie, wesprzyjcie jakąś fajną fundację, na przykład ajs baket czelencz. Ja, żeby pokazać, że nie jestem obojętna wobec tych szczytnych celów, zdecydowałam się wziąć udział w tej akcji.

Marzena odchyliła głowę i w kontrolowany sposób wylała sobie na nią odrobinę nieschludzonej wody mineralnej, uważając jednak, żeby nie zmoczyć ubrania.

Miała nadzieję, że kamerka internetowa wszystko zarejestrowała.

Intensywne prace nad rozrastającym się objętościowo *Domkiem dla lalek* trwały, przedłużając się, ale w głowie Marzeny kielkowały już pomysły na kolejną powieść. Taką szalenie odważną. Do tego stopnia, że będzie musiała rozważyć, czy wydać ją pod własnym nazwiskiem czy raczej pod pseudonimem.

To miało iść mniej więcej tak: znana pisarka przechodzi przez rozwód, który okazuje się dla niej szokiem i powoduje traumę. Dowiaduje się o zdradach męża i jego podwójnej moralności. Popada w depresję, ale dzięki miłości i wsparciu dzieci szybko się podnosi i próbuje ułożyć na nowo życie. Również to seksualne, które przez lata trwało w uśpieniu.

I o tym przede wszystkim będzie ta książka. O budzeniu się z seksualnego letargu.

Bo nagle naszła Marzenę wyzwalająca myśl, że i ona będzie wolna, że będzie mogła zrobić ze swoim życiem i ciałem to, na co ma ochotę.

W każdym razie wiedziała już mniej więcej, jak będzie wyglądała nowa książka – z jednej strony będzie pełna seksu, czasem wyuzdanego, a z drugiej wypełniona wołaniem o prawdziwą miłość.

„Ciekawe, ile osób domyśli się, że to jej własne życie zainspirowało kreację bohaterki?” – zastanawiała się.

Z rozmyślań wyrwała ją świadomość zaległości, którą wreszcie powinna się zająć. Otóż obiecała przyjaciółce po piórze – Joasi Godlewskiej – że napisze parę zdań rekomendacji na okładkę jej nowej książki. Miała wobec niej dług wdzięczności za podobną polecankę na własnej okładce przed laty. Problem w tym, że wówczas Godlewska była znana i lubiana, a ona desperacko walczyła o rozpoznawalność. Teraz z kolei sytuacja się odwróciła – to ona cieszyła się wzięciem, a o Godlewskiej niewiele już pamiętało. Na mieście i w tajnych grupach na Facebooku krążyły plotki, że książkę wydawała (po trzech latach przerwy) ze współfinansowaniem, choć ze względów prestiżowych nie chciała i nie mogła się do tego przyznać.

„No więc – zadała sobie odważnie pytanie – czy polecenie zapomnianej Godlewskiej nie degraduje w jakiś sposób jej osoby?”

Co gorsza, żeby napisać te dwa czy trzy zdania, powinna najpierw książkę przeczytać, a jej tak bardzo nie chciało się ruszać tego nieszczęsnego PDF-a, który od niej już prawie miesiąc temu otrzymała. Może wymęczy jakieś ogólniki, posiłkując się opisem książki? Gorzej, jeśli Godlewska zacznie ją wypytywać o szczegóły i wyda się, że poszła na skróty.

Ostatecznie uznała, że nie ma do tego głowy i że książki czytać nie będzie. Napisała z marszu, że *Książkę Joasi Godlewskiej można polecić wszystkim, którzy pragną literatury rozrywkowej, ale szukającej też odpowiedzi na ważne pytania. Jej bohaterowie sprawiają, że musimy zupełnie inaczej spojrzeć na rzeczywistość, która nas otacza. Polecam zdecydowanie!*

Potem skreśliła „polecam zdecydowanie”, uznając to za niepotrzebny i banalny zarazem dodatek. Wysłała jej ten tekst do zatwierdzenia w wiadomości na Fejsie.

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast.

„Ach, te pisarki, one wszystkie, zamiast pisać, siedzą na Facebooku!” – przeszło jej przez głowę.

*To wszystko? – zapytała Godlewska, wcale jej nie dziękując.  
A czego byś oczekiwała?*

*No... że rozwiniesz o tych ważnych pytaniach albo o rzeczywistości.*

*„Weź spierdalał, upierdliwa babo” – pomyślała zdenerwowana Marzena.*

*Ale po co mam odbierać czytelnikowi przyjemność odkrywania...*

*Weź jeszcze się zastanów. Mam czas do piątku. Muszę iść odebrać dziecko. Pa.*

Było to sfochowane „pa”, o czym Marzena doskonale wiedziała.

Nie udało się odrobić pańszczyzny. Uznała, że będzie musiała jednak podjąć jakiś wysiłek, żeby zanadto nie stracić w oczach tamtej. Nie chodziło nawet o stary dług wdzięczności; bała się raczej, że obsmaruje ją w necie albo na panelu pisarek.

A Marzena opuściła już kilka paneli i ważnych spotkań, przez co czuła, że trochę zdjęła rękę z pulsu, mimo że internety – ze szczególnym uwzględnieniem Facebooka – pozwalały jej być w miarę na bieżąco ze wszystkim.

Parys wylegujący się przy biurku spojrział na nią i radośnie zaszczekał.

– A ty czego chcesz, piękny żebraku? – spytała, sięgając po ciastka dla psów, którymi go miała w zwyczaju rozpieszczać.

\* \* \*

Paulina wróciła wieczorem. Nie była zbyt rozmowna. Przewiesiła niedbale płaszcz i torebkę na krześle, po czym skierowała się do kuchni. Napiła się soku z lodówki i wzięła twarożek oraz jabłko z zamiarem zjedzenia ich w swoim pokoju. Zaraz potem bez słowa skierowała się w jego stronę.



Marzena nie próbowała jej zatrzymywać, niczego nie chciała wymuszać. Pokręciła tylko głową. Cóрка nie zadała sobie nawet trudu, żeby powiesić płaszcz tam, gdzie jego miejsce; zapomniała też o torebce. Marzena nie lubiła, kiedy Paulina zostawiała swoje rzeczy gdzie popadnie, bo to burzyło pewną wizję ładu domowego, którą chciała narzucić wszystkim domownikom. Obecnie „wszystkim dwom”. Kiedy chwyciła za torebkę Pauliny, ta wypadła jej z ręki na podłogę, co z kolei spowodowało częściowe wysypanie się jej zawartości. Na podłodze znalazły się klucze, portfel, jakieś kosmetyki, tabletki... Wrzuciła wszystko z powrotem do środka torebki. Wszystko, poza tabletkami. Spojrzała z zaciekawieniem na pudełko – Yasmin, pigułki antykoncepcyjne.

Uśmiechnęła się nerwowo. Nie miała świadomości, że córka je bierze. Ciekawe, jak długo to mogło trwać. Lata leciały, ale ona nigdy nie potrafiła sobie wyobrazić, że jej Paulina, jej słodka i ukochana córeczka, będzie chciała kiedyś rozchyłać nogi przed jakimiś napalonymi chłoptasiami.

„Może rozpoczęła regularne współżycie z Przemkiem i dlatego zaczęła łykać te tabletki” – pomyślała.

Ale przecież jej o to nie zapyta. Za późno na uświadamiające pogadanki o seksie. Nie miała wszak do czynienia z jakąś nieodpowiedzialną nastolatką, ale z dorosłą, zapewne świadomą swojej seksualności kobietą. Przegapiła ten moment. A teraz czuła się z tego powodu dość dziwnie.

„Jesteś żaloszna” – skarciła się w duchu, chowając do torebki również tabletki.

Ale bardziej była skłonna do współczucia sobie niż myślenia z pogardą o tym, jaką jest matką. Jej mąż posuwał swoją asystentkę. Paweł na pewno korzystał sodomicznie z uroków życia w Londynie. Teraz okazało się, że i Paulina również nie zasypiała gruszek w popiele. Tylko ona żyła właściwie bez nadziei. Wieczna posucha. Skazana na własną wyobraźnię

i palce. Żałosna, smutna, odrzucona, a przecież jednocześnie tak otwarta, chętna, tak gotowa, by uszczęśliwić siebie i przy okazji innych.

„To się musi zmienić” – przyrzekła sobie w rozgoryczeniu.